

Z Ireną Jarocką rozmawia Zenon Bosacki

JEJ WIELKIE SNY

Po latach występów chyba każdy piosenkarz stawia sobie pytanie: Po co śpiewam? - chociaż Tuwim dawno odpowiedział: „ludziom na pocieszenie”. Dlaczego Pani śpiewa, i to z uporem?

Myślę po prostu, że publiczność mnie potrzebuje. Jak kiedyś potwornie dużo pracowałam, to marzyłam o spokoju, a ponieważ moje wszystkie marzenia się spełniają, więc i to się spełniło. Pojechałam do Stanów, miałam spokój, mogłam robić co chciałam, ale okazało się, że to nie byłam ja. Nie potrafię być tylko gospodynią domową nawet przy najbardziej ukochanej rodzinie. Muszę siebie jeszcze w czymś ciągle realizować. – A w czym się tak będę realizowała jak w piosence? Stan spokoju, o którym marzyłam, trwał ponad rok. Przypadkowo zaśpiewałam i znów połknęłam haczyk. Piosenkuję mi się coraz lepiej, mam coraz wspanialszy kontakt z publicznością, czuję się bardzo potrzebna i jeszcze się nie zastanawiam, co kiedyś potem będę robiła.

-Nigdy Pani o tym nie myślała; nawet śpiewając ostatnio o „klatce ze złota”?

Chyba będę pracować w organizacjach charytatywnych. Wykorzystam moją pozycję, nazwisko, aby pomagać ludziom. Chociaż czy koniecznie trzeba należeć do organizacji? Jest tyle biedy, tylu ludzi potrzebujących dokoła nas. Czasami wystarczy pomóc pierwszej z brzegu osobie będącej w potrzebie. Tak się dziś staram robić. To najbardziej spontaniczne. Jeśli ja dostałam tyle dobra od życia, to myślę, że powinnam to oddać.

- Trudno sobie wyobrazić, żeby Irena Jarocka mogła obdarowywać ludzi czymkolwiek szczerzej niż swoim śpiewaniem.

Nadal czuję wielką potrzebę dzielenia się z ludźmi swoimi uczuciami, moją duszą, moim śpiewem. Tym bardziej, że stałam się człowiekiem jeszcze wrażliwszym, jeszcze wyraźniej czuję energię, która do mnie płynie od publiczności i staram się to odwzajemnić. Lubię dotykać wnętrza ludzi, żeby poczuli moją interpretację. Teraz widzę, że to szczęście, że mam tyle przebojów, bo z nimi często słuchaczom kojarzą się miłe wspomnienia. Dzięki temu ludzie mogą nawet być zdrowsi, bo to pomaga koić smutki, zapominać o przykrych sprawach codzienności; wielu ludziom jest coraz ciężiej żyć tutaj w Polsce. Śpiewam z serca, a nie dla aplauzu. Łatwiej się może wzruszam niż kiedyś, ale łyzy są czymś pięknym, tym bardziej, jeżeli wynikają ze wzruszenia, ze szczęścia. I piękne jest to, że człowiek może po sobie zostawić to, co dobre, dobre wzruszenia.

- Kilka lat przepracowała Pani w Paryżu, dziesięć przemieszkała w USA. Kiedyś powiedziała Pani: Prawdziwą patriotką stałam się dopiero na obczyźnie...

Teraz jestem w Polsce coraz częściej. Był okres, kiedy byłam tutaj raz w roku, wtedy mi Polski strasznie brakowało, zwłaszcza że mieszkałam w miejscu, gdzie nie było żadnych akcentów polskich - tęskniło się ogromnie. Dopiero będąc tam poczułam rzeczywiście, czym jest dla mnie mój kraj, czym jest patriotyzm, czym jest... Często nie cenimy tego, co mamy w zasięgu ręki. Przez to, że wielu Polakom brakuje Polski, to inaczej ją widzą i bardziej kochają. Z odległości przeżywa się o wiele mocniej wiele rzeczy, które dzieją się tutaj w kraju i łatwiej się angażuje w jakąkolwiek pomoc na jej rzecz. Zwłaszcza ludzie starsi żyją krajem w sposób

niesamowity. Robią wszystko, żeby tam imię Polaków było coraz lepsze... Bardzo w zmianie wizerunku Polaka w Stanach pomogli nasz Papież i Lech Wałęsa z „Solidarnością”. Obecnie mnóstwo inteligencji polskiej napłynęło do Stanów i zajmują tam coraz wyższe stanowiska. Zanika stereotyp „głupiego Polaka”.

- Przed czterema laty w Polsce wydała Pani swoją płytę i kasetę w "Złotej kolekcji" z ponad dwudziestoma piosenkami (czy którejs z najważniejszych na niej zabrakło?). Na płycie wydanej w październiku - "Mój wielki sen" próbuje Pani zdobyć słuchaczy nowoczesnym repertuarem.

Do "Złotej kolekcji" wybrałam najmocniejsze, najpopularniejsze swoje utwory, chociaż każdemu fanowi czegoś tam brakowało. Na nowej płycie jest tylko jedna starsza piosenka. Wybieranie utworów do ostatniej płyty było trudne tak pod względem zdobywania nowych piosenek, jak i spraw realizatorskich. Nie miałam tu menedżera, przyjeżdżałam dwa, trzy razy w roku do Polski na krótko, rozkręcałam sprawy, wszystko wyglądało fantastycznie, ale jak tylko wsiadałam do samolotu, zapadała cisza, nic się nie działo do następnego mojego przyjazdu. Sama starałam się, żeby to były najbardziej melodyjne utwory, o współczesnej aranżacji. Robert Mościcki podjął się roli producenta. Chodziło o płytę, którą kupi i młodzież, i moje pokolenie.

- Młodzież też potrzebuje piosenki sentymentalnej?

Na koncertach w Polsce mam zawsze mnóstwo młodzieży, publiczność od dzieci do starszków. Chciałam tę tradycję podtrzymać i na nowej płycie znalazły się piosenki w stylu dance pop, jakich jeszcze w życiu nie śpiewałam, mam wiązkę moich starych przebojów. Śpiewam po angielsku, w modnym stylu klubowym piosenkę Ani Jantar "Tylko mnie poprosz do tańca". Obok piosenek w żywszym tempie są i nostalgiczne (piosenka tytułowa czy "Tam gdzie serce, tam mój dom") i ballady... Melodie i teksty napisali najlepsi kompozytorzy i autorzy mojego pokolenia, a także twórcy młodzi. Jestem zakochana w polskiej młodzieży. Jest zupełnie inna niż amerykańska, ma więcej ciepła wobec innych ludzi. Młodzi ludzie w Polsce mają więcej inicjatywy, determinacji, są chętni do pomocy, otwarci, ale są też głębsi. Nawet wizualnie są to piękni ludzie. To jest kontrast wobec starszych, którzy mają tu potwornie ciężkie życie, żeby związać koniec z końcem, więc trudno, żeby się uśmiechali.

- Zmieńmy temat, bo zaczyna się robić smutno. Jaki jest Pani stosunek do tak zwanej nowoczesnej muzyki rozrywkowej, do komputeryzacji? Czy nie powinna Pani teraz śpiewać: "Sto lat czekam na twój mail"?

Sama śpiewam ostatnio w stylu, w jakim dotąd nie śpiewałam, ale czasami we współczesnej muzyce jest mało melodii do zapamiętania i powtórzenia, teksty często bardzo banalne albo nawet wulgarne. W Polsce nastała kolejna moda na disco-polo w nowocześniejszej wersji i ludowiznę. W Stanach też jest country music, tylko że to tam nie dominuje aż tak, bo jak u nas jakiś styl się pokazuje, to już nic innego prawie nie istnieje. Komputer lubię, ale nie jestem jego niewolnicą. Traktuję go roboczo, do pisania, do uzyskania wiadomości na jakiś temat. Czas, zamiast na fascynację komputerem czy telewizją, wolę poświęcić na sprawy prywatne, odpoczynek, relaks. Co do e-maili, to często ich używam, chociaż wydaje mi się, że ręcznie list pisze się znacznie głębiej i inaczej; chociaż są kłopoty z wysyłaniem...

- Jakiej muzyki słucha Pani dla odprężenia?

Bardzo różnej. Klasycznej, niosącej refleksje, mającej w sobie piękną harmonię, która mnie dotyka bardzo głęboko. Kocham gitarę klasyczną i rytmy hiszpańskie. Z celtycką muzyką piosenkarki i kompozytorki Enya odpływam w kosmos! Mam sporą kolekcję muzyki Indian amerykańskich, mającej w sobie niezwykłą więź z naturą. No i sweet jazz, który lubiłam zawsze.

- Czy to prawda, że trudności czynią mistrza? Pani miała kłopoty ze strunami głosowymi...

Trudności czynią mistrza na scenie, ale i w życiu. Kiedyś graliśmy po pięć koncertów dziennie, a na każdym recitalu śpiewałam po dwadzieścia piosenek. Sto piosenek dziennie! Bardzo osłabiłam sobie struny głosowe. Zaczęłam mieć guzki na strunach, zdarzało się zrywanie tournée, bo nie mogłam nawet mówić. Miałam operacje strun głosowych i wyszłam z tego. W Warszawie spotkałam rewelacyjną nauczycielkę śpiewu, panią Alicję Barską. Zaleciła mi bezwzględnie obniżyć wszystkie tonacje moich piosenek. To się okazało zbawienne. Rozszerzyła mi też i wyrównała skalę głosu, uwypukliła jego mocne strony. Mimo podeszłego wieku ma ona w sobie ogrom energii, młodości i zapału; wśród jej uczniów znajdują się największe gwiazdy polskiej piosenki i teatru.

- A czy jest wokalista, który wywarł istotny wpływ na Pani śpiewanie?

Na samym początku Barbara Streisand, może nieco później Ella Fitzgerald, no i wiadomo, piosenka francuska, która do dzisiaj jest mi bardzo bliska. Kiedy śpiewam po francusku, coś dziwnego się ze mną dzieje, jakbym była inną osobą...

- W Pani głosie zaczyna wtedy brzmieć bel canto...

- Może jest to sprawa języka, inaczej pracuję głosem i wydaje mi się, że bardziej wyśpiewuję samą siebie.

- Podobno Jarocka ma taką dykcję, tak interpretuje, że nawet nieznający polskiego zrozumie, o czym ona śpiewa.

- A mówiąc poważnie, ludzie nieznający języka polskiego często rozumieją moje piosenki. Tu rolę gra wrażliwość. Mówię niekiedy publiczności, że według mnie dla zrozumienia tekstu nie jest konieczna znajomość języka, bo jeżeli piosenka jest zaśpiewana z głębi duszy, to trafia bezpośrednio do słuchacza. Spotykałam się bardzo często ze zdaniem Amerykanów, którzy po recitalu mówili mi, że nie znają tego języka, ale wiedzieli o czym śpiewam, bo czuli piosenkę przez skórę. I dla mnie to była najpiękniejsza nagroda.

- Jak ocenia Pan poziom dzisiejszego piosenkarstwa?

- We współczesnej muzyce nie zawsze chodzi o to, żeby wszystko zgadzało się ze starymi kanonami. Czasem wyśpiewuje się, co się chce, jest więcej improwizacji, a czasem nawet więcej mechaniki. To robi dziś rewelacyjnie śpiewająca Christina Aguilera czy Mariah Carey. Dziewczyny wspaniale śpiewają, ale dla mnie jest to fantastyczna, czysta technika; kto więcej melizmatów, ozdobników zaśpiewa na minutę, im wyżej, tym lepiej. - A ja jestem taka staromodna, że lubię jednak dać więcej duszy w piosence i więcej siebie, wzruszyć ludzi słowem, które przekazują i samą sobą. Dziś romantycy cierpią, bo to nie czasy dla nich. Nadal

pozostają romantyczką i myślę, że każdy jest w głębi romantykiem, jedni mniej drudzy więcej; każdy potrafi kochać.

- Czy nie wydaje się Pani jednak, że gonienie za pieniądzem i dostatek ludzi...

...zubaża.

- To już aforyzm: dostatek zubaża.

Tak. Tak zawsze bywało. Przepadałam kiedyś za czytaniem życiorysów artystów. Im więcej cierpiał, tym doskonalszą sztukę tworzył... A dziś artysta nie może działać bez sponsora. Spójrzmy na Amerykę. Dostatek może też zubażać etycznie, mentalnie. Ostatnio dowiedziałam się, że trzydzieści kanadyjskich organizacji „charytatywnych” wysyłało masę pieniędzy pod dziwne adresy. Zachodzi podejrzenie, że dla popierania terrorystów.

- Śpiewa Pani sporo piosenek osobistych, wspomnieniowych. Czy na przykład „Był ktoś” to też o sobie i kimś bliskim; czy „Słodki Charlie” ma odniesienie personalne? Tekst jest tak przekonujący...

„Był ktoś” – tak, o mnie, a co do drugiej osoby; byłam po rozwodzie z pierwszym mężem i być może śpiewałam piosenkę do niego... Część publiczności jednak, wiedząc jak bardzo byłam zakochana w moim obecnym mężu, myślała że to o nim. – A ostry tekst piosenki „Słodki Charlie” gryzł się z moją osobowością, ja w życiu taka nie jestem. Dobry aktor musi zagrać każdą rolę. Aby być intrygującym dla słuchacza, należy go zaskakiwać, czasami szokować. Może w tej piosence podświadomie chciałam złamać obraz „słodkiej Ireny”. W życiu też zdarza mi się stracić cierpliwość... Pierwszy raz wykonywałam „Charliego” na festiwalu w Sopocie. Nie lubię piosenek premierowych śpiewać na wielkich galach, bo dochodzi dodatkowa trema. Miałam wtedy bogatą, skomplikowaną choreografię przygotowaną do tej piosenki. Ćwiczyłam namiętnie, ale miałam na to tylko kilka dni, a jak już wyszłam na scenę i zaczęłam mylić kroki, musiałam ratować albo układ ruchów, albo tekst. Uratowałam tekst, a choreografia poszła sobie...

- Zatem prawdziwa jest Irena Jarocka raczej sentymentalna, a nie realistka, jak w krytyce małżeństwa „Spod welonu”, czy feministka-motyl, jak w „Narzeczonej” i bodaj najlepszej piosence napisanej dla Pani – „Motylem jestem”?

Staram się w piosenkach być sobą; czasami ludzie mówili, że jestem przesłodzona; może i tak, ale ci, co mnie tak określają, nie znają dobrze mnie ani mojego całego repertuaru. I w piosence dramatycznej, i kokieteryjnej i rytmicznej, i mojej słodkiej – w każdej staram się być sobą, ale muzyka i tekst wiele mi sugerują. Wydaje mi się więc, że jestem bardzo różna. Jednocześnie chcę być sobą i jak wybieram teksty, to nie mogą to być treści obok mnie. Zdarzało się wyjątkowo, jak w „Charlie’em” czy w „Beatlemanii” jakieś ostrzejsze słowo...

- Ależ to są pieszczotki wobec ochłapów mięsa, wyrzaskiwanych teraz z estrad nawet przez dziewczyny! Pani najodważniejszym sformulowaniem jest na najnowszej płycie: „przyciąganie ciała” - określenie z XVII-wiecznej lekcji fizyki.

Staram się dobierać piosenki różne pod względem stylistycznym, jak bossa novę „Być narzeczoną twą” z cudowną grą słów Wojtka Młynarskiego; a jeżeli „Spod welonu” tak została przyjęta, jak pan mówi, to się cieszę, bo widocznie dobrze ją zaśpiewałam. Przy

„Motylem jestem” też oczywiście miałam opory. Ta piosenka zainspirowała Jerzego Gruzę i Krzysztofa Teodora Toeplitza do napisania odcinka serialu „40-latek”. Grałam tam swoją rolę, „jeżdżąc” eleganckim samochodem sportowym, a nie umiałam wtedy prowadzić. Co się ci chłopacy, pomagający na planie, napchali tego niziutkie porche niemal na leżąco! Kiedy odcinek nadano, zaczęłam dostawać listy z pogrózkami, z pretensjami, jak mogę ja, taka elegancka i nobliwa, podrywać niewinnych mężczyzn i ich rzucać w tak straszny sposób, że muszą boso wracać do domu! Andrzej Kopiczyński przed kamerą zapytał mnie o numer telefonu. Powiedziałam pierwszy lepszy. Okazało się, że trafiłam w czyjś telefon prywatny i pod ten numer dzwonili widzowie, żądając rozmowy ze mną.

- To chyba nie jedyna Pani przygoda aktorska.

W szkole średniej grałam w teatrze amatorskim przy Katedrze Oliwskiej. Film to był debiut. Jerzy Gruza wspianiale mnie prowadził, cudownie się pracowało! Przed rokiem miałam również szczęście w Waszyngtonie do reżysera. To dla mnie fantastyczne przeżycie. W polskim teatrze wystąpiłam w sztuce Mrożka „Piękny widok”. Reżyser, pani Sylwia Daneel, znana także w Polsce z radia „Głos Ameryki”, to taka druga nasza Modrzejewska, długo grała na Broadwayu. Współpraca z nią i z Wiesławem Małachowskim, moim partnerem w tej sztuce, była dla mnie doświadczeniem niepowtarzalnym, zupełnie czymś innym niż estrada czy film. Dziękuję Boży za tę przygodę. Szkoda, że nie mogliśmy grać dłużej, ale ja musiałam wyjeżdżać, a Wiesław pilnować swojej firmy budowlanej, bo tam często aktorzy mają drugi zawód, z którego żyją, a aktorstwo traktują jako hobby.

- Pani ciekawym życiem można by obdzielić kilku artystów. Co można uznać za momenty przełomowe w nim?

Przeszłam przez wydarzenia, po których bardzo dojrzałam psychicznie, zupełnie inaczej zaczynałam patrzeć na życie. Pierwszym był wyjazd na stypendium do Paryża. Pojechałam na trzy miesiące, a zostałam blisko pięć lat. To był czas potwornie trudny. Początkowo nie znałam zupełnie francuskiego, a ja tak lubię mówić, uczestniczyć w rozmowach... Nie rozumiałam, o czym mówią ludzi w towarzystwie, co mówią w radiu, w wiadomościach. To było na początku dla mnie więzienie językowe. Teraz już pamiętam głównie te miłe momenty, ale nieraz powtarzam, że w Paryżu postarzałam się psychicznie o sześćdziesiąt lat... Piszę o tym w swojej książce autobiograficznej „Piosenka o mnie samej”.

- Z czego wynikał ten gwałtowny rozwój ponad wiek?

Wtedy dopiero stałam się naprawdę dorosła po przejściach różnego typu, które tam miałam. Stałam się ostrożniejsza wobec ludzi, mniej wylewna, ale także mniej krytykancka wobec Polski. Nie chce więcej o tym mówić, bo napiszę w książce; proszę tam poczytać. Następny przełom to wypadek samochodowy, któremu uległam po powrocie. Prowadził mój dawny znajomy Michał, z którym wracałam z koncertu, jadąc maluchem do mojego męża, Mariana. Najechał na nas czołowo duży samochód, ponieważ jego kierowca nie znał Warszawy. Był to jak na ironię kapitan żeglugi wielkiej, który odbierał w stolicy odznaczenie za ratowanie ludziom życia na morzu. Byłam mocno pokiereszowana. Jak się obudziłam po operacji, zaczęły się refleksje: dokąd ja pędzę, co mam z życia? Mam moje śpiewanie, ale są jeszcze inne aspekty, których mi brakuje; spokój, stabilizacja... I wtedy się zakochałam właśnie w Michale, moim obecnym mężu.

- I niebawem urodziła się córka...

No, nie tak szybko, z zajściem w ciążę też miałam kłopoty. – Ale urodzenie po kilku latach Moniki to było trzecie moje przebudzenie. Moje kochane dziecko! Znowu świat przekręcił mi się do góry nogami, znowu musiałam zmienić sposób myślenia; że nie istnieję tylko ja, my dwoje, ale i ta trzecia osoba. Czwartym przełomem była Ameryka. Do Stanów jechałam po okresie przebojowości, kiedy tu w Polsce potrafiłam wszystko załatwić, wszystko wspaniale się kręciło. Miałam nadzieję, że i Amerykę podbiję. Jechałam też, aby realizować swoje marzenie; żeby pobyc w spokoju z rodziną.

- To była emigracja z Pani inicjatywy?

Nie, cudowne warunki stworzył mi tam mąż. Amerykańscy łowcy mózgow poznali go z informatycznej literatury fachowej. Zaoferowali mu układ tak atrakcyjny, że nie do odrzucenia. Na początku ten raj mi się podobał, ale nie potrafiłam długo żyć tylko tym. Potrzebowałam ruchu, realizowania siebie; nie mogłam czy nie chciałam się tam odnaleźć. Byłam praktycznie izolowana od środowiska, bo Polonii tam było jak na lekarstwo, a ja miałam problemy z angielskim. W sumie wpadłam w depresję, bo doszły kłopoty z głosem. Kiedy mówiłam po angielsku, denerwowałam się, że nie potrafię się wyrazić tak, jak bym chciała. Atakowałam niektóre samogłoski, zbyt mocno zaciskając struny głosowe i męczyłam głos do tego stopnia, że go straciłam. Lekarz stwierdził, że jedynym lekarstwem dla mnie są częste wyjazdy do Polski.

- A nie powrót z rodziną na stałe?

Może kiedyś na emeryturę wrócimy do Polski. Teraz Michał ma tam wszystko: pasjonującą pracę, którą kocha i rewelacyjne warunki, wysoką pozycję... Mam bardzo wyrozumiałego męża. Wysłał mnie do Polski; „Wrócisz, jak zatęsknisz.” Zatęskniłam już po miesiącu za spokojem w naszym domku, w lesku u podnóża Appalachów. Musiałam dokonać wyboru, bo widziałam, jak się męczą tam w Stanach Polacy, którzy nie potrafią wybrać; żyją tam, cały czas myśląc o Polsce, o tym co tutaj zostawili. Żyją przeszłością, stając się zgorzkniali, nie umieją sobie tam miejsca odnaleźć w życiu. Ja przewartościowałam swoje życie, postawiłam na dom, rodzinę, która jest dla mnie najważniejsza. Do Polski przylatuję coraz częściej i jest mi z tym dobrze. – A moje szczęście dopełnia śpiewanie.

- Koniecznie w Polsce; pamiętając, że głównym motywem herbu Jarocki jest serce.

Wiedziałam, że powinnam tam znaleźć sobie miejsce, ale brakowało mi wiary w siebie. Dostałam fantastyczną propozycję od Telewizji Karoliny Północnej – śpiewania i prowadzenia programu rozrywkowego dla grup etnicznych, ponieważ znam pięć języków. Prosilili tylko, żebym pokazała im swoje portfolio. Zaczęłam szybko organizować moje materiały, ale najlepszą taśmę z programu „Wielkie przeboje Ireny Jarockiej” w warszawskiej Telewizji zgubiono. I tak rozviała się kolejna w moim życiu (po propozycjach z Francji, Anglii czy Niemiec) wspaniała szansa. Zaczęłam śpiewać w klubach polskich. Jak zaczęłam śpiewać, to zaczęłam wracać do życia. Powoli zadomowiłam się w Stanach. I za to doświadczenie bardzo Bogu dziękuję. Ameryka uczy tolerancji. Nauczyłam się inaczej patrzeć na ludzi, doceniać ich, głębiej kochać. Jestem bardziej otwarta, nabrałam dystansu do spraw. Sympatycznie jest tam wracać i sympatycznie jest wracać do Polski. Jestem globtroterem.

- Na koncertach piosenkę „Wymyśliłam cię” dedykuje Pani kobietom samotnym, nawet samotnym mężatkom... „Żyjemy coraz szybciej” – to Pani przyznaje. Ale tempo wykańcza zwłaszcza mężczyzn, więc może trzeba jakoś wziąć pod ochronę ten ginący gatunek. Ponieważ mężczyźni są towarem deficytowym, niektórym paniom dostają się egzemplarze wybrakowane. Część kobiet zatem żyje samotnie z wyboru.

Żal mi kobiet samotnych, też tych co mają partnera, a są samotne, bo tak jest w życiu, że bardzo często najbardziej się kochając, jesteśmy samotni. Mamy kogoś obok siebie, żeby się wspólnie rozwijać, pomagać sobie, uzupełniać się, ale niestety jest trudno o to, żeby takie dwie dusze się spotkały, żeby miały tyle tolerancji, zrozumienia, umiejętności pójścia na kompromis, żeby wzajemnie mieć szacunek dla swojej inności, pasji, zainteresowań partnera. Mam to szczęście, że mam cudownego męża, widzę jednak, że często kobiety są oszukiwane.

- Proszę jednak spróbować spojrzeć na sprawę obiektywnie

Wiem, że panowie są biologicznie słabsi, ale jeżeli to ginący gatunek, to sami tego chcieli. Narzucili nam patriarchy, a nasze ambicje mieli za nic. Dziś się czasy zmieniły, choć trudno sobie wyobrazić życie bez dawania dobra drugiemu człowiekowi. Mają kobiety dziś więcej wolności dla siebie, możliwości realizowania się poza domem, ale stało się to więzieniem, bo nadal muszą spełniać rolę matek, a często i głowy rodziny, choć według mnie mężczyzna nadal powinien być tak zwaną opoką domu, a matka miłością. Na miłość taty trzeba zasłużyć, a miłość mamy się ma. Kobiety są romantyczkami, kochają układ, w którym mają obok siebie ciepłego mężczyznę, zapewniającego im byt materialny. Nam potrzebny jest opiekun i wielbiciel, trzymajmy się więc razem, a wierzę, że mężczyźni nie wyginą.

- Jako słodka Lwica (urodzona w sierpniu) stroni Pani od polityki?

Zawsze starałam się pozostawać poza polityką. W roku 1969, gdy wróciłam pierwszy raz z Paryża, zostałam wezwana do urzędu paszportowego w Gdyni, gdzie zaproponowano mi tak zwaną współpracę. Miałam w Paryżu obserwować Polaków, bo niektórzy działają przeciwko Polsce Ludowej, a ja jako patriotka powinnam podglądać i donosić, a wtedy mogę mieć bardzo dużo wyjazdów i nikt mi w tym nie będzie przeszkadzać. Powiedziałam; trudno, najwyżej nie pozwolicie mi wyjeżdżać, ale chcę tylko śpiewać, a nie podsłuchiwać. Zresztą jestem zbyt szczerą i że przy lada okazji się wygadam, żaden ze mnie szpion. Zaczęli się z tego wycofywać, że to rozmowa rutynowa i nie miałam z tego żadnych przykrości.

- Bo wygadała się Pani dopiero po trzydziestu latach. – A stan wojenny?...

Miałam wyjechać z zespołem do Stanów Zjednoczonych, wszystko zostało odwołane; nie ma koncertów, nie ma pracy, więc rzuciłam się do urządzania domu, więcej czasu miałam dla siebie. Wielkim moim marzeniem było mieć dziecko, a nie mogłam zająć w ciąży. – Aż do 13 lutego 1982 roku... Po kilku miesiącach zaczęłam mieć kłopoty i lekarz zabronił mi wyjazdów. Do tego doszły naciski, żeby demonstrować, bojkotować imprezy. Nie spodobało mi się to, bo miesiąc, dwa przerwy, to pół biedy, ale przecież to był nasz chleb, z czegoś trzeba było żyć... Jak pojechałam do Stanów w roku 83, to pikietowano artystów polskich. Podejrzewano i mnie, podobnie jak wielu innych, znanych, że skoro dostałam paszport, to musiałam współpracować z władzą. Śpiewałam jednak z zespołem Jarka Kukulskiego, ale wielu przyjeżdżało z recitalami i nie mogło wystąpić...

- Wracając do prawdziwych piosenek o sobie samej, z czyjej inspiracji teksty te są pisane, na przykład „Chłopcy z weselszych lat” Jacka Korczakowskiego. Czy zawsze uzgadniane z wykonawczynią?

Albo ja poddawałam czasami jakiś pomysł, albo akceptowałam tekst. Jeżeli on nie był w zgodzie ze mną, to starałam się nie śpiewać, a jeśli jakiś fragment mi się nie podobał, autorzy zmieniali; aczkolwiek niektóre teksty frapowały mnie na zasadzie eksperymentu.

- Śpiewała Pani kiedyś: „Chłopcy z rodzinnych stron, czy wybaczycie mi, że wam uciekłam w świat?” Załóżmy, że chłopcy, opuszczani przez najpiękniejsze ukochane, licznie i ślicznie wyjeżdżające na zachód – wybaczyli. Wtedy uciekła Pani po raz drugi. Ile razy mamy wybaczać?

Dziś im i mnie jest to obojętne. Ten motyw w moim życiu wracał parokrotnie. Pierwszy raz, kiedy „zdradziłam” ukochany Gdańsk, miasto mojej młodości – dla Warszawy. – A ta piosenka to była kokieteria. – Poważniej mówiąc, wybaczać trzeba wielokrotnie, prawdziwa miłość potrafi wybaczać. Jak po decyzji wyjazdu do Ameryki miałam na żywo rozmowy z dzwoniącymi do radia, to płakałam do mikrofonu, słysząc tyle cudownych, ciepłych słów; ludzie wręcz kazali mi wracać. Miałam rzucić rodzinę? Mam być nadal w Polsce i mam im dalej śpiewać! Jechałam do Stanów jeszcze bardziej roztrzęsiona...

- I zostawały z tego, jak na Pani najnowszej płycie „perony we łzach”.

Właśnie, w tej chwili znowu wracam do Polski, na tutejszy rynek. - Z nowymi piosenkami, świeża, piękna, pokazuję się i mam nadzieję na tę publiczność, która mnie podobno tak bardzo dalej kocha (śmiech) i może zdobędzie nowszą, a starszej dziękuję za wierność, bo mam tyle dowodów miłości, że po prostu jestem wzruszona. Najlepiej być gościem. Nawet we własnym domu. Wszyscy nas wtedy bardziej kochają, jest większe zainteresowanie, mam wokół siebie wielu dobrych aniołów stróżów, którzy mi pomagają, więc sytuacja obecna bardzo mi odpowiada.

- Słowik wędrowni?

No... mieszkać na razie tam z cudowną rodziną, chodzić po moim lasku w Clifton Park, a wyżywać się artystycznie tutaj i dawać siebie widzom bardziej od święta. Postaram się tu być jak najczęściej. – Ciągłe mi czegoś brakuje, taki mam charakter. Muszę się ciągle odkrywać. Bardzo bym chciała kiedyś w życiu móc powiedzieć: Jestem wolnym człowiekiem, wolnym od tego, co powiedzą ludzie o mnie, od jakichkolwiek uzależnień. Być sobą i działać w zgodzie z samą sobą.

- Ambitny plan, godny osoby, która powtarza: „jestem optymistką, ważne jest myślenie pozytywne, co wymyślimy to nas spotka.” Czy nie za wiele romantyzmu, a może nawet magii? Jeszcze w sierpniu publicznie mówiła Pani: „Coraz bardziej kocham świat.” Czy 11 września optymizm obywatelki USA i Polski nie został nakruszony, czy nie skłaniałaby się Pani raczej do osądu, że życie jest średnie?

Nadal uważam, że życie jest piękne. Nie w obliczu tej tragedii, która się tam wydarzyła. Dla mnie ważne jest dostrzeżenie w najtrudniejszych momentach czegoś pozytywnego. Oprócz wojny, która nas teraz tak niepokoi, jest wiele miłości dookoła i tak wiele piękna na świecie i w ludzkim uśmiechu, i w zachodzie słońca. To jest dobra energia,

która nas otacza i pomaga żyć. Jestem tchórzem. Nie lubię patrzeć ani na tragedię nowojorczyków, ani na cierpiące dzieci w Afganistanie. Nigdy nie lubiłam filmów o przemocy. Przed 11 września Amerykanie żyli w bajkowym, bezpiecznym świecie. To okrutne uderzenie uświadomiło im pierwszy raz od wojny secesyjnej, co to jest wojna we własnym kraju. Mimo tej tragedii staram się nie tracić nadziei, żyć normalnie, ale namawiam rodzinę do powrotu do Polski.

- Z tym tchórzostwem to przesada. Przecież kilka dni po wybuchu wsiadła Pani w pierwszy samolot, żeby odbyć w Polsce umówione spotkania.

Tego się rzeczywiście nie bałam, ale na lotnisku w Nowym Jorku niedaleko mnie siedziała kobieta w typowym stroju arabskim, obok mężczyzny bez brody, przebranego za kobietę. Mieli wystraszone twarze, rozbiegane oczy, a i ja niespokojnie rozglądałam się, czy nie ma ich tam więcej i ze zdziwieniem stwierdziłam, że po raz pierwszy boję się muzułmanów. Szybko mi to przeszło i współczuję Arabom, znam wielu bardzo porządnych, pięknych ludzi z tej nacji. Podświadomie krzywdzimy ich i powodujemy, że stają się coraz bardziej negatywnie do nas nastawieni. Były ostatnio w Stanach wypadki mordowania ich.

Krótko przed wielką tragedią nowojorską narzekała Pani w Polskim Radiu na schamienie obyczajów w skali świata, na zły wpływ mediów. Czy uważa Pani, że jedno z drugiego w jakimś stopniu wynika?

- Ekstremiści islamscy uważają, że świat już tak nisko upadł moralnie, że trzeba zaprowadzić afgański porządek, czyli powrót do średniowiecza. Fakt, że trochę pławiliśmy się w naszym dobrobycie i płytkim myśleniu. Ostatnio było w Stanach bardzo dobrze, przez ostatnie lata rewelacyjnie nawet. Zrobiło się tak, że wiadomości w mediach były puste, dziennikarze w Stanach nie mieli o czym mówić, z byle czego usiłowali robić wielki temat. Dopiero po 11 września ci ludzie się obudzili, zaczęli inaczej myśleć, inne wartości zaczęły dla nich być ważne. Dla nas liczyła się tania ropa Arabów, a nie ich kultura czy religia... Wielu Amerykanów, absolutnie nie antysemitów uważa też, że budowanie osiedli izraelskich na terenach Palestyńczyków jest bezsensowne, a USA w jakimś stopniu angażują się w to.

- Przepraszam za obcesowość. Jak na zdeklarowaną optymistkę rzadko się Pani śmieje, nie tryska humorem, a raczej determinacją do działania. Wygląda Pani na zabieganą, trochę roztargnioną, choć pełną zewnętrznego i wewnętrznego uroku.

O, nad tym pytaniem muszę się skupić... Od najmłodszych lat byłam poważnym dzieckiem. Było nam w domu potwornie ciężko. Musiałam sobie już od dzieciństwa radzić, pomagając tacie w wychowaniu trzech młodszych braci, bo moja mamusia ciągle chorowała. Być może stąd ukształtowała się we mnie postawa powagi, chyba nawet przesadnej, pilnowania siebie, kontrolowania swoich reakcji. Z latami mi to przechodzi. - A jeśli coś postanowię, staram się to realizować, choć nie narzucając się nikomu, bo jestem aż nazbyt wrażliwa na reakcje innych ludzi, więc wolę często stać z boku niż wchodzić w jakąś burzę.

- W Bydgoszczy działa Pani fanklub. Co Panią łączy z tym miastem?

Urodziłam się w Srebrnej Górze pod Żninem. Kiedyś współpracowałam z tamtejszą „Estradą”. Jej dyrektorem z klucza partyjnego został były dyrektor mleczarni i było trochę nieporozumień. Fanklub jest bez porównania bardziej kompetentny. Jego szefową jest od wielu lat Danusia Ignatowska. Ma ona najbogatszą dokumentację wszystkiego na mój temat –

na płytach, wideokasetach, w grubych albumach zdjęć i wycinków. Napisała książkę o mnie. Takich fanów mam wielu. Mają już własne rodziny, ich dzieci też są moimi fanami. Czy nie pięknie? Dziękuję im wszystkim.

- Kiedy umawialiśmy się na wywiad, szukając wolnych godzin, pocieszała się Pani, że przecież na ten czas zagonienia tak długo czekała. Warto było?

Zabiegana bywam też w Ameryce, ale to jest nieporównywalne. Tam to aerobik czy spotkania z przyjaciółmi, szczególnie Amerykankami – uczę się lepiej języka. Załatwiam koncerty po całych Stanach, kontaktuję się z Konsulatem RP, z organizacjami dobroczynnymi... Ale to wszystko nie tak, jak w tej chwili w Polsce, gdzie jestem w swoim żywiole, wyszła moja płyta, dzieje się wokół mnie bardzo dużo i cieszę się z tego.

Niedawno na spotkaniu w Bydgoszczy wyznała Pani: „Kocham was bardzo” – ze łzami w oczach. I pewnie to prawda, bo zaśpiewała Pani jednak, na usilne życzenia – „Kawiarenki”, pomimo że już się wykonawczynie sprzykrzyły?

„Odływają kawiarenki” nie sprzykrzy mi się nigdy, ale mam tak wiele innych przebojów, dlaczego ich nie zaśpiewać...

- Ma Pani w Polsce wielu przyjaciół?

Prawdziwych, bliskich przyjaciół mam niewielu, chociaż i bardzo wielu, bo wiem, że sporo moich fanów oddałoby za mnie dusze i dla mnie największym przyjacielem jest publiczność. To jest może banalne, ale jak widzę i słyszę ich reakcje, to czuję taką sympatię, że zjadłabym ich. W moim środowisku najbardziej lubimy się z Ewą Bem, Danusią Błażejczyk, Ewą Kuklińską. Na przyjaciół trzeba mieć czas, a nie mamy go. Podczas tej rozmowy też chyba nawygadywałam za dużo... W autoryzacji jeszcze poskreślałam.

Rozmówczynie bardzo dziękuję. I za to, że skreśliła jedynie tyle co nic.

Rozmawiał Zenon Bosacki
zenonbosacki@o2.pl
[od października 2001 do stycznia 2002]
Wszelkie prawa zastrzeżone